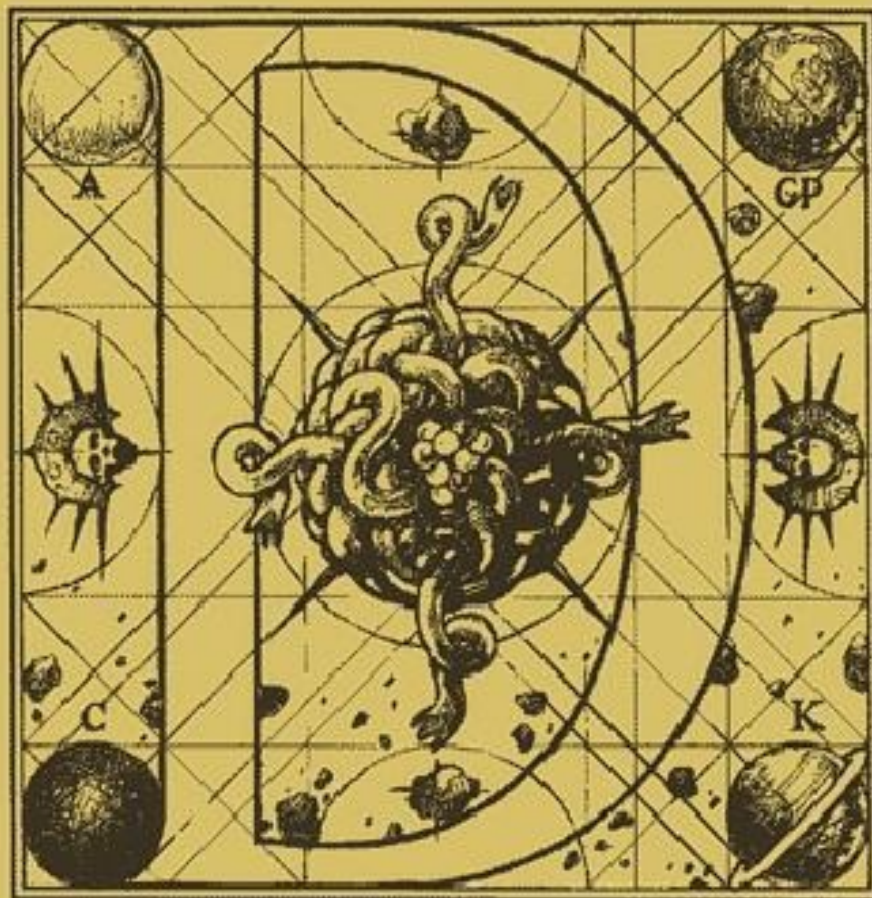


Frank Herbert

Dzieci
Diuny



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).

Frank Herbert

DZIECI
DIUNY

Przełożyli

Marek Marszał i Andrzej Jankowski



REBIS

Dom Wydawniczy REBIS

Dla Bev

– z miłosnym oddaniem, ceniąc Jej urodę i mądrość,
gdyż to Ona naprawdę zainspirowała mnie do napisania tej książki



Dzieci Diuny

Nauki Muad'Diba stały się polem do popisu dla doktrynerów, zabobonników i fałszywców. On nauczał harmonii bytu, filozofii, która pozwala człowiekowi podjąć wyzwania wiecznie zmieniającego się wszechświata. On głosił, że ludzkość ciągle się rozwija, podlega ewolucji, której nie ma końca. Głosił, że ewolucja ta zachodzi według zmieniających się reguł, które znane są tylko wieczności. Jak można fałszywym rozumowaniem igrać taką istotą rzeczy?

– Zdaniem mentata, Duncan Idaho

Na bordowym dywanie zaścielającym surową skałę jaskiniowej podłogi pojawił się krążek światła. Jarzył się bez widocznego źródła, jakby samoistniejąc jedynie na związanej z przyprawowych nici bordowej okrywie tkaniny. Myszkujący krążek, około dwucentymetrowej średnicy, sunął zygzakiem, to wydłużając się, to znów kurcząc. Napotkawszy ciemnozielony skraj łóżka, podskoczył i rozpląnął się po posłaniu.

Pod zielonym kocem leżał rudowłosy chłopiec o puciołowatej jeszcze po dziecięcemu buzi i pełnych wargach – figura daleka od tradycyjnej, czerstwej suchości fremenńskiej, ale i nie nalana wodą jak obcoświatowiec. Krążek światła musnął zamknięte powieki i chłopiec się poruszył. Światło zgasło.

Teraz było słychać tylko miarowy szmer oddechu i, w tle, nikle, kojące kap-kap-kap kropli wody spadających do basenu łownego z ukrytego wysoko nad jaskinią oddzielacza wiatru.

Światło powróciło do komory nieco większe, jaśniejsze o parę lumenów. Tym razem dało się coś powiedzieć o jego źródle i wędrówce: zakapturzona sylwetka wypełniała sklepiony otwór na krańcu komory i tam brało ono swój początek. Znów krążyło po pomieszczeniu, badając, szperając. Była w nim jakaś utajona groźba, jakieś wzbierające rozdrażnienie. Ominęło śpiące dziecko, przysiadło na siatce wlotu powietrza w górnym narożniku, poświdrowało wybrzuszenia zielono-złoty kobierców łagodzących twardość skalnej ściany.

Po chwili zgasło znowu. Szelest szaty zdradził, że zakapturzona postać przemieściła się i stanęła po drugiej stronie sklepionego wejścia. Znający porządki w siczy Tabr bez trudu by się domyślił, że to musi być Stilgar, jej naib, a zarazem opiekun osieroconych bliźniąt, które pewnego dnia obejmą schedę po ojcu, Paulu Muad'Dibie. Stilgar często sprawdzał kwatery bliźniąt, zawsze zaczynając od komnaty, w której spała Ganimia, i kończąc tutaj, w przyległym pomieszczeniu, gdzie mógł się upewnić, że nic nie zagraża Leto.

„Stary dureń ze mnie” – pomyślał Stilgar.

Obrócił w palcach chłodny korpus szperacza i schował urządzenie do kieszonki w szerokim pasie. Chociaż użyteczny, szperacz go drażnił. Był wyrafinowanym produktem Imperium, służącym do wykrywania dużych, żywych obiektów. W królewskich sypialniach wykrył jedynie śpiące dzieci.

Stilgar wiedział, że jego myśli i emocje są jak światło szperacza. Nie mógł powstrzymać niespokojnego strumienia świadomości. Akurat tym kierowała jakaś wyższa siła. Kierowała Stilgara do tej chwili, w której wyczuwał zogniskowane niebezpieczeństwo. Tu krył się magnes przyciągający sny o potędze z całego wszechświata. Tu kryły się doczesne bogactwa, świecka władza i ów najpotężniejszy ze wszystkich mistycznych talizmanów: boskie źródło religijnej spuścizny Muad'Diba. W tych bliźniątach – Leto i jego siostrze Ganimie – tkwiła przerażająca moc. Dopóki one żyją, Muad'Dib, choć martwy, żyje w nich.

Te dziewięćlatki nie są zwykłymi dziećmi; są żywiołami natury, obiektami czci i strachu. Są dziećmi Paula Atrydy, który został Muad'Dibem, Mahdim wszystkich Fremenów. Muad'Dib wywołał erupcję ludzkości – to z tej planety, niosąc swoją żarliwość, Freneni runęli przez zamieszkań wszechświat dżihadem, falą religijnego władztwa, które zasięgiem i wszechobecnym panowaniem zostawiło ślad na każdym globie.

„Jednak dzieci Muad'Diba są tylko ludźmi – pomyślał Stilgar. – Wystarczyłoby dwa razy pchnąć nożem, żeby wyciekło z nich życie. Ich woda wróciłaby do plemienia”.

W krnąbrnym umyśle Fremena aż się zagotowało od tego pomysłu.

„Zabić dzieci Muad’Diba!”

Ale Stilgar z wiekiem nauczył się orientować w meandrach własnej świadomości. Znał pochodzenie tej strasznej myśli. Przychodziła od lewej dłoni przekłętogo, nie od prawej błogosławionego. Ajat i burhan życia nie miały dla niego wielu tajemnic. Dawniej był dumny, mieniąc się Frememem, mając pustynię za przyjaciółkę i nazywając w myślach swoją planetę Diuną, a nie Arrakis, jak oznaczano ją na wszystkich gwiazdnych mapach Imperium.

„Jakie proste było wszystko, kiedy nasz mesjasz był tylko marzeniem. Odnalazłszy naszego Mahdiego, otworzyliśmy wszechświat na chmarę mesjanistycznych rojeń. Teraz każdy lud zniewolony dżihadem marzy o nadejściu przywódcy. – Zerknął w głąb ciemnej sypialni. – Czy gdyby mój nóż uwolnił tych wszystkich ludzi, czyniliby mnie mesjaszem?”

Leto niespokojnie wiercił się na posłaniu.

Fremen westchnął. Nie poznał dobrze dziadka chłopca, po którym ten nosił imię. Ale wielu mówiło, że moralna siła Muad’Diba tam właśnie miała swoje korzenie. Czy owa przerażająca prawość ominie teraz pokolenie? Nie znajdował odpowiedzi na to pytanie.

„Sicz Tabr jest moja – myślał. – Ja tu rządę. Jestem naibem Fremenów. Beze mnie nie byłoby Muad’Diba. A co do bliźniąt... przez Chani, ich matkę, a moją krewniaczkę, moja krew płynie w ich żyłach. Tkwię w tym razem z Muad’Dibem, Chani i całą resztą. Co myśmy zrobili z naszym światem?”

Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego takie myśli nachodzą go po nocy i dlaczego budzą takie poczucie winy. Skulił się pod płaszczem z kapturem. Jawa była całkiem inna niż sen. Przyjazna pustynia, dawniej rozpościerająca się od bieguna do bieguna, zmniejszyła się o połowę. Mityczny raj bujnej zieloności napawał go lękiem. Nie przypominał tego z marzeń. Stilgar wiedział, że tak jak zmieniła się jego planeta, tak i on sam się zmienił. Stał się człowiekiem dużo bardziej wyrafinowanym niż niegdysiejszy przywódca siczy. Był teraz świadomy wielu rzeczy – sztuki rządzenia państwem i rozległości skutków najbliższych decyzji. Jednak postrzegał tę wiedzę i to wyrafinowanie jako warstewkę pozłoty na żelaznym jądrze swojej prostszej, bardziej zdeterminowanej świadomości. I to dawniejsze jądro odzywało się w nim, domagając powrotu do czystszych wartości.

Bieg jego myśli zaczęły zakłócać poranne odgłosy siczy. Ludzie kręcili się już po jaskini. Przeciąg owionął mu policzki: Fremenii pootwierali grodzie i wychodzili w ciemność przedświt. Przeciąg był tyle oznaką beztroski, co znakiem czasów. Mieszkańcy jaskini nie przestrzegali już tak reżimu wody jak za dawnych dni. Bo i po co, skoro na planecie odnotowano deszcze, skoro widuje się chmury, skoro gwałtowna powódź po ulewie zalała i zabiła ośmiu Fremenów w wadi. Przed tym zdarzeniem wyraz „topielec” nie istniał w języku Diuny. Tyle że to już nie jest Diuna; to Arrakis... i wstaje brzemienny w wypadki dzień.

„Jessika, matka Muad’Diba i babka królewskich bliźniąt, wraca dzisiaj na naszą planetę. Dlaczego właśnie teraz kończy swoje dobrowolne wygnanie? Dlaczego przedkłada niebezpieczeństwa Arrakis nad sielankę Kaladanu?”

Były też inne powody do niepokoju: Czy odgadnie jego rozterki? W końcu to czarownica Bene Gesserit, po najgruntowniejszym szkoleniu, no i Matka Wielebna całą gębą. Takie kobiety są bystre i niebezpieczne. Czy każe mu się nadziać na własny nóż, jak skończył obrońca ummy Kynesa?

„Czy usłuchałbym jej?” – zastanowił się Stilgar.

Uciekł od odpowiedzi, wspominając Kynesa, planetologa, który pierwszy zamarzył o przemianie pustynnej Diuny w życiodajną zieloną planetę, jaka się właśnie rodzi. Kynes był ojcem Lieta-Kynesa, ojca Chani. Bez Kynesa nie byłoby zielonego marzenia, Chani, królewskich bliźniąt. Postęp tego kruchego łańcucha zdarzeń przerażał Stilgara.

„Jak doszło do naszego spotkania w tym miejscu? Jak się połączyliśmy? W jakim celu? Czy mam położyć kres temu wszystkiemu, zniszczyć tę wielką kombinację?”

Stilgar miał pełną świadomość, że zмага się ze straszną pokusą. Mógł dokonać wyboru, mógł się wyprzeć miłości i rodziny, aby zrobić to, co naib musi czasami zrobić: powziąć śmiertelną decyzję dla dobra plemienia. Z jednej strony taki mord oznaczał najczarniejszą zdradę i okrucieństwo. „Zabić zwyczajne dzieci!” Ale z drugiej te dzieci nie były zwyczajne. Spożywały melanz, uczestniczyły w siczowych orgiach, zapuszczały się na pustynię po piaskową troć i oddawały innym rozrywkom fremenińskiej dzieciarni... I zasiadały w Radzie Królewskiej. Dzieci tak małe, a tak mądre, że zasiadały w radzie. Może i były dziećmi z ciała, ale z doświadczenia były stare jak świat, urodzone z pełną pamięcią genetyczną, przerażającą świadomością, która oddzieliła je i ich ciotkę Alię od wszystkich innych ludzi.

Niejeden raz i niejednej nocy Stilgar przyłapywał się na tym, że jego myśli krążą wokół owej „odmienności” wspólnej bliźniętom i ich ciotce; niejeden raz budził się z dręczących snów i z niedośnionymi koszmarami przychodził tutaj, do sypialni bliźniąt. Jego rozterki nabrały

teraz ostrości. Brak decyzji sam w sobie jest decyzją – o tym wiedział. Dzieci i ich ciotka przebudzili się w łonie matki i wchłonęli wszystkie wspomnienia przodków. Zdecydowało o tym uzależnienie od przyprawy, uzależnienie ich matek: lady Jessiki i Chani. Lady Jessika urodziła syna, Muad’Diba, zanim popadła w uzależnienie, natomiast Alia przyszła na świat już po tym. To było jasne z perspektywy czasu. Niezliczone pokolenia z planu eugenicznego Bene Gesserit doprowadziły do Muad’Diba, ale zgromadzenie żeńskie nigdzie nie uwzględniło melanżu. Och, czarownice wiedziały o tej możliwości, ale bały się jej i nazywały to Złym Duchem. To był najbardziej przerażający fakt. Zły Duch. Musiały mieć powody do takiej oceny. A skoro orzekły, że Alia jest Złym Duchem, to samo musi dotyczyć bliźniąt, ponieważ Chani też była uzależniona, jej ciało przesycone przyprawą, a jej geny w jakiś sposób dopełniły geny Muad’Diba.

Myśli Stilgara pograżyły się w zamęcie. Nie ulegało wątpliwości, że bliźnięta zaszły dalej niż ojciec. Tylko w którą stronę? Chłopiec oznajmił, że potrafi być swoim ojcem – i dowiódł tego. Jeszcze jako maluch Leto ujawniał wspomnienia, które miał prawo zachować jedynie Muad’Dib. Czy i inni przodkowie wyczekują w owych przepastnych korytarzach pamięci – przodkowie, których przekonania i zwyczaje stwarzają niewyobrażalne zagrożenia dla żyjących ludzi?

Złe Duchy – powiadają święte czarownice Bene Gesserit. A jednak łakną genotypu tych dzieci. Czarownice chciały mieć plemniki i jajo bez budzących niepokój ciał dawców. Czyżby dlatego Jessika przybyła właśnie teraz? Wprawdzie zerwała ze zgromadzeniem, wzięwszy stronę swego księcia, ale ludzie gadają, że powróciła na łono Bene Gesserit.

„Mógłbym zakończyć te wszystkie mrzonki – myślał Stilgar. – Jakie by to było proste”.

Ale znowu zdziwił się sobie, że może rozważyć taki wybór. Czy bliźnięta Muad’Diba są winne rzeczywistości, która niweczy marzenia innych? Nie. Są tylko soczewkami, przez które pada światło odsłaniające nowe kształty we wszechświecie. Zagubiony, zwrócił się myślą ku podstawom fremieńskiej wiary: „Dzieje się wola Boga, nie próbuj jej przyspieszać. Bóg wskazuje drogę, tylko niektórzy z niej schodzą”.

Właśnie religia Muad’Diba najbardziej niepokoiła Stilgara. Dlaczego uczynili Muad’Diba bogiem? Po co deifikować kogoś, o kim wiadomo, że jest z krwi i kości? „Złoty Elikssir Życia” Muad’Diba zrodził biurokratyczne monstrum, krępujące ludzkie życie. Władza złączyła się z religią i łamanie prawa stało się grzechem. Swąd bluźnierstwa snuł się jak dym wokół każdego wystąpienia przeciwko rządowym dekretem. Występek buntu rozniecał piekielne ognie i pełne pychy osądy.

A jednak to ludzie tworzyli owe rządowe dekryty.

Stilgar ze smutkiem pokręcił głową, nie zauważwszy, że w królewskim przedpokoju do porannych zajęć zeszła się służba.

Przebierał palcami po rękojeści krysnoża za pasem, dumając nad symbolizowaną przez broń przeszłością i wspominając, jak niejednokrotnie solidaryzował się z buntownikami, których niewydarzone rebelie zgnieciono na jego rozkaz. Żeby chociaż wiedział, jak uwolnić umysł od zamętu, jak przywrócić mu prostą filozofię noża. Ale wszechświata się nie cofnie. Ta olbrzymia machina pruje naprzód przez szarą otchłań niebytu. Zabiwszy bliźnięta, jego nóż tylko odbije się echem w tej otchłani, motając nowe złożoności, które przewiną się w historii rodzaju ludzkiego, tworząc nowe fale chaosu i wodząc ludzkość na manowce nowych form ładu i nieładu.

Stilgar westchnął, uprzytomniając sobie, że wokół trwa krzątanina. Tak, ci słudzy przedstawiają pewien ład ustanowiony wokół dzieci Muad’Diba. Żyją od chwili do chwili, stawiając czoło wszelkim pojawiającym się koniecznościom.

„Najlepiej pójść w ich ślady. Najlepiej stawić czoło temu, co przychodzi, kiedy już przyjdzie – powiedział sobie, po czym dodał – Jeszcze jestem sługą. A moim panem jest Bóg Miłosierny, Litościwy. – I zacytował w duchu: – Zaprawdę, nałożyliśmy im pęta aż po brodę, przeto ich głowy są uniesione; i postawiliśmy barierę przed nimi i barierę za nimi; i przykryliśmy ich zasłoną, przeto ich oczy nie widzą”. Tak było zapisane w starej fremieńskiej religii.

Stilgar skinął głową. To, że człowiek „widzi”, przewiduje nadchodzącą chwilę, jak to robił Muad’Dib dzięki swoim oszalamiającym wizjom przyszłości, przydaje życiu nowego wymiaru. Stwarza nowe pola dla decyzji. Wolność od pęt, tak, to mogło oznaczać kaprys Boga. Jeszcze jedną złożoność nie do pojęcia dla zwykłego człowieka.

Zdjął palce z rękojeści. Mrowiły go od ucisku. Ostrze, które niegdyś lśniło w ziejącej paszczy czerwia, zostało w pochwie. Wiedział, że nie dobędzie już noża, żeby zabić bliźnięta. Powziął decyzję. Lepiej zachować tę jedną z dawnych cnót, którą nadal się szczycił: wierność. Lepsze złożoności, które wydają się poznane, niż złożoności nie do pojęcia. Lepsza terazniejszość niż marzenie o przyszłości.

Gorycz w ustach mówiła Stilgarowi, jak jałowe i ohydne potrafią być niektóre marzenia.

„Dość! Dość już marzeń i snów!”



Zaczepka: Spotkałeś Kaznodzieję?

Riposta: Spotkałem czerwia pustyni.

Zaczepka: Co robi czerw pustyni?

Riposta: Daje powietrze, którym oddychamy.

Zaczepka: To dlaczego niszczy jego krainę?

Riposta: Dlatego, że Szej-hulud [Bóg Czerw] tak nakazuje.

– Arrakańska szermierka słowna pióra Harka al-Ady

Fremeńskim zwyczajem atrydzkie bliźnięta obudziły się godzinę przed świtem. Niczym na dany znak jednocześnie ziewnęły i przeciągnęły się w przyległych sypialniach, wyczuwając krzątanie w jaskiniowym labiryncie. Słyszały opiekunów przygotowujących w przedpokoju śniadanie – niewyszukany kleik daktylowo-orzechowy na syropie z fermentującej przyprawy. Płonęły lumisfery i łagodne, żółte światło wpadało przez sklepienie przejścia do sypialni. Ubierając się szybko w półmroku, bliźnięta słyszały też siebie. Tak jak się umówiły, włożyły filtraki dla ochrony przed palącymi wiatrami pustyni.

Niebawem królewska dwójka spotkała się w przedpokoju, zauważając, że wszyscy nagle zamarli. Leto – ujrano – zarzucił na szarą gładź filtra jasnobrązową pelerynę z czarną lamówką. Jego siostra miała pelerynę zieloną. Obie spięte były pod szyją agrafami w kształcie atrydzkiego jastrzębia – ze złota, z czerwonymi rubinami w miejsce oczu.

Hara, jedna z żon Stilgara, nie wytrzymała na widok tych paradnych szat.

– Widzę, żeście się wystroili, by uhonorować waszą babkę.

Leto wziął miskę z papką i popatrzył na ciemne, pobrużdżone przez wiatr oblicze Fremenki. Pokręcił głową.

– Skąd wiesz, że nie honorujemy siebie?

Jego kpiące spojrzenie ani trochę nie speszyło Hary.

– Moje oczy są równie błękitne jak twoje!

Ganima parsknęła śmiechem. Hara zawsze była mistrzynią fremeńskiej gry w szermierkę słowną. Ta krótka riposta mówiła: „Nie kpij ze mnie, chłopcze. Możesz sobie być królewiatkiem, ale oboje nosimy stygmaty uzależnienia od melanzu – oczy bez białek. Który Fremen potrzebuje strojnieszszych szat albo większych honorów niż to?”

Leto uśmiechnął się smętnie i pokręcił głową.

– Hara, kochanie, gdybyś tylko była młodsza i nie należała do Stilgara, byłabyś już moja.

Fremenka gładko przelknęła małe zwycięstwo i dała znak pozostałym opiekunom, żeby wrócili do swoich zajęć.

– Jedzcie śniadanie – powiedziała. – Dziś będziecie potrzebowali energii.

– Przyznajesz więc, że nie jesteśmy za śliczni dla naszej babki? – spytała Ganima z ustami pełnymi papki.

– Nie bój się jej, Gani – rzekła Hara.

Przelknąwszy, Leto bacznie spojrzał na Harę. Piekielnie dobrze znała się na ludziach, skoro tak błyskawicznie przejrzała tę zagrywkę strojami.

– Czy ona uwierzy, że się jej boimy? – zapytał.

– Prawdopodobnie – odparła Fremenka. – Nie zapominaj, że była naszą Matką Wielebną. Znam jej sposoby.

– Jak ubrała się Alia? – spytała Ganima.

– Nie widziałam jej – burknęła Hara, odchodząc.

Leto i Ganima wymienili porozumiewawcze spojrzenia i dziarsko zabrali się do jedzenia. Wkrótce wyszli na wielki główny korytarz. Ganima odezwała się w jednym ze starożytnych języków, których nie poskapiła obojgu pamięć genetyczna.

– No to witamy dzisiaj babkę.

– Co bardzo trapi Alię – powiedział Leto.

– Kto lubi oddawać władzę? – zauważyła Ganima.

Cichy śmiech Leto zabrzmiał dziwnie dorośle jak na jego dziecięcą postać.

– Chodzi o coś więcej.

– Czy oczy jej matki wypatrzą to, co my widzimy?

– A nie wypatrzą? – odparł chłopiec.

– Tak... Tego mogłaby się obawiać.

– Kto lepiej rozpozna Złego Ducha niż Zły Duch? – rzekł Leto.

– Wiesz, że możemy się mylić.

– Ale się nie mylimy – stwierdził i przytoczył słowa z Księgi Azhara Bene Gesserit: – „To za sprawą rozumu i strasznego doświadczenia nazywamy przednarodzonych Złymi Duchami. Albowiem któż wie, jaka zatracona i przeklęta osobowość z naszej mrocznej przeszłości może opanować żyjące ciało?”

– Znam historię – powiedziała Ganima. – Ale jeśli to prawda, dlaczego my nie padliśmy jeszcze ofiarą takiej wewnętrznej napaści?

– Może rodzice stoją w nas na straży?

– To dlaczego Alia nie ma swoich strażników?

– Nie wiem. Może dlatego, że jedno z jej rodziców pozostaje wśród żywych. A może my po prostu jesteśmy jeszcze młodzi i silni?

Może kiedy będziemy starsi i bardziej cyniczni?

– Musimy być bardzo ostrożni z naszą babką – rzekła Ganima.

– I nie dyskutować o Kaznodziei, który wędruje po planecie, głosząc herezję?

– Chyba nie sądzisz, że to nasz ojciec?!

– Niczego nie przesądzam, lecz Alia się go obawia.

Ganima gwałtownie potrząsnęła głową.

– Nie wierzę w te bajki o Złym Duchu!

– Masz dokładnie tyle samo cudzych pamięci co ja – rzekł Leto. – Możesz wierzyć, w co chcesz.

– Myślisz, że to dlatego, że nie odważyliśmy się na trans przyprawowy, Alia zaś wystarczyło odwagi – powiedziała Ganima.

– Tak właśnie myślę.

Zamilkli, wkraczając w strumień ludzi w głównym korytarzu. W siczy Tabr ciągnęło chłodem, ale w filtrakach było im ciepło, a skraplaczowe kaptury mieli zsunięte z rudych głów na plecy. Ich twarze ujawniały piętno wspólnych genów: pełne usta, szeroko rozstawione, błękitne w błękicie oczy.

Leto pierwszy wypatrzył zbliżającą się ciotkę Alię.

– O wilku mowa – powiedział, przechodząc ostrzegawczo na atrydzki język walki.

Gdy Alia stanęła przed nimi, Ganima złożyła ciotce niski ukłon.

– Zdobycz wojenna pozdrawia znamienitą krewną. – Pozostając przy chakobsa, położyła nacisk na znaczenie swojego imienia: „zdobycz wojenna”.

– Jak widzisz, kochana cioteczko – dodał Leto – szykujemy się na dzisiejsze spotkanie z twoją matką.

Alia, jedyna osoba na rojnym dworze królewskim, u której dorosłe zachowanie obojga dzieci nie budziło najmniejszego zdziwienia, wodziła wzrokiem od siostry do brata i z powrotem.

– Zamknijcie się, jedno z drugim!

Rudobrzowe włosy miała ściągnięte do tyłu i zebrane w dwa złote taliony wody. Owalna twarz była nachmurzona, szerokie, jakby nieco lubieżne usta mocno zacisnięte. Troska wyrysowała kurze łapki w kącikach jej błękitnych w błękicie oczu.

– Mówiłam wam, jak macie się dzisiaj zachowywać! Motywy znacie równie dobrze jak ja.

– Znamy twoje motywy, ale ty nie możesz znać naszych – powiedziała Ganima.

– Gani! – fuknęła Alia.

Leto utkwiał wzrok w ciotce.

– Właśnie w takim dniu jak ten nie będziemy się mizdrzyć!

– Nikt wam nie każe się mizdrzyć. Uważamy tylko, że to nierozsądne, żebyście budzili niebezpieczne myśli w mojej matce. Irulana zgadza się ze mną. Kto wie, w jakiej roli wystąpi lady Jessika? W końcu jest Bene Gesserit.

Leto z niedowierzaniem pokręcił głową. „Dlaczego Alia nie widzi, co podejrzewamy? Czyżby zaszła za daleko?” I z wyteżoną uwagą

obserwował ledwo uchwytnie cechy genetyczne w rysach Alii, zdradzające jej dziadka ze strony matki. Baron Vladimir Harkonnen nie był sympatycznym jegomościem. Rozbudziwszy tym spostrzeżeniem własny, nieokreślony niepokój, pomyślał „To również mój przodek”.

– Lady Jessika została wyszkolona do rządzenia – powiedział.

Ganima skinęła głową.

– Dlaczego postanowiła wrócić właśnie teraz?

Alia spojrzała na nich wilkiem.

– Może chce po prostu zobaczyć wnuki?

„Taką masz nadzieję, cioteczko – pomyślała Ganima. – Ale to mało prawdopodobne”.

– Nie może tu rządzić – dodała Alia. – Ma Kaladan. Powinien jej wystarczyć.

– Kiedy ojciec poszedł umrzeć na pustyni – odezwała się pojednawczo Ganima – zostawił cię jako regentkę. On...

– Uskarżasz się na coś? – przerwała jej Alia.

– Mądrze zarządził. – Leto podjął zagrywkę siostry. – Jesteś jedyną osobą, która wie, co znaczy narodzić się tak, jak myśmy się narodzili.

– Mówi się, że moja matka wróciła do zgromadzenia – powiedziała Alia – a oboje wiecie, co Bene Gesserit sądzą o...

– Złym Duchu? – dokończył Leto.

– Tak! – warknęła Alia.

– Czarownicą zostaje się na zawsze, jak głosi porzekadło – odezwała się Ganima.

„Siostrzyczko, prowadzisz niebezpieczną grę” – pomyślał Leto, ale poszedł w jej ślady.

– W przeciwieństwie do innych czarownic babka pełna jest prostoty – rzekł. – Dzielisz z nią wspomnienia, Alia, musisz chyba wiedzieć, czego się spodziewać.

– Pełna prostoty! – Potrząsając głową, Alia zerknęła na zatłoczony korytarz i wróciła spojrzeniem do bliźniąt. – Gdyby moja matka była mniej skomplikowana, nie byłoby tu żadnego z was... ani mnie. Ja byłabym jej pierworodną i nic z tego wszystkiego... – Ni to wzruszyła ramionami, ni to wstrząsnął nią dreszcz. – Ostrzegam was, jedno z drugim, uważajcie dzisiaj na to, co robicie. – Podniosła wzrok. – Są moje amazonki.

– Nadal uważasz, że lepiej będzie dla nas, jeśli nie zabierzemy się z tobą na lądowisko? – zapytał Leto.

– Poczekajcie tutaj – odparła Alia. – Sprowadzę ją.

Leto wymienił spojrzenia z siostrą.

– Mówiłaś wiele razy, że pamięci, które mamy od tych, co odeszli przed nami, nie będą szczególnie przydatne, dopóki na własnej skórze nie doświadczymy dość, aby oblec je w rzeczywistość. Oboje wierzymy w to. Spodziewamy się niebezpiecznych zmian wywołanych przybyciem naszej babki.

– I w tej wierze wytrwajcie – powiedziała Alia, po czym w orszaku strażniczek szybko odmaszerowała korytarzem w kierunku reprezentacyjnego wejścia i oczekujących przed nim ornitopterów.

Ganima otarła łzę z prawego oka.

– Wilgoć dla umarłych? – szepnął Leto, ujmując rękę siostry.

Dziewczynka wzięła głęboki, drżący wdech na myśl o tym, co spostrzegła, gdy obserwowała ciotkę za pomocą doskonale sobie znanej metody z zasobu odziedziczonych doświadczeń.

– To sprawka transu przyprawowego? – zapytała, wiedząc, co odpowie Leto.

– Masz lepsze wyjaśnienie?

– Dlaczego, na przykład, nasz ojciec... czy nawet babka, nie ulegli?

Przyglądał jej się chwilę.

– Znasz odpowiedź równie dobrze jak ja. Mieli ukształtowane osobowości, zanim przybyli na Arrakis. Trans przyprawowy, no cóż... – Wzruszył ramionami. – Nie przyszli na świat już opętani przez przodków, Alia zaś...

– Dlaczego nie uwierzyła w przestrogi Bene Gesserit? – Ganima przygryzła dolną wargę. – Miała dostęp do tych samych informacji co my.

– One już wcześniej nazywały ją Złym Duchem – rzekł Leto. – Ciebie nie korci, by się przekonać, czy jesteś silniejsza od tych

wszystkich...

– Nie, nie korci!

Ganima uciekła wzrokiem przed bacznym spojrzeniem brata i zadrżała. Wystarczyło poszperać w genetycznych pamięciach, a słowa przestrogi zgromadzenia żeńskiego stawały się ciałem. Przednarodzeni wyraźnie wyrastali na osobników o paskudnych zwyczajach. A prawdopodobna przyczyna... Ponownie zadrżała.

– Szkoda, że nie mamy kilku przednarodzonych wśród naszych przodków – powiedział Leto.

– Być może mamy.

– Przecież byśmy... Ach, tak, stare pytanie bez odpowiedzi: Czy rzeczywiście mamy dostęp do całego zbioru przeżyć każdego przodka?

Wnosząc ze swej wewnętrznej paniki, Leto wiedział, jak bardzo ta rozmowa musi niepokoić siostrę.

– Najlepsze, co możemy zrobić – stwierdził – to migać się, migać i migać, ilekroć ona będzie nakłaniać nas do transu. I jak ognia wystrzegać się przedawkowania.

– Dawka musiałaby być niełicha – zauważyła Ganima.

– Zapewne mamy wysoką tolerancję – przytaknął. – Widzisz, ile potrzebuje Alia.

– Żal mi jej – powiedziała dziewczynka. – Pokusa musiała podpełzać niepostrzeżenie i podstępnie, opanowując ją stopniowo, aż...

– Padła ofiarą, tak – dokończył Leto. – Jest Złym Duchem.

– Możemy się mylić.

– Owszem.

– Zawsze zadaję sobie pytanie – powiedziała Ganima w zadumie – czy kolejna z pamięci przodków, po jaką sięgam, będzie właśnie tą, która...

– Przeszłość jest nie dalej niż twoja poduszka – rzekł Leto.

– Musimy znaleźć okazję, żeby pogadać o tym z babką!

– Do tego właśnie nagli jej pamięć we mnie – przyznał Leto.

Ganima spojrzała mu w oczy.

– Im więcej wiedzy, tym trudniejsza decyzja.



Przewodził owej siczy

I Liet, i Kynes,

I Stilgar, i Muad'Dib,

I Stilgar jeszcze raz.

Piach zasypuje ślady naibów,

Sicz się ostaje.

– z fremeńskiej piosenki

Alia z biciem serca oddaliła się od bliźniąt. Przez pulsującą w skroniach chwilę odczuwała przemożną pokusę, żeby zostać i poprosić je o pomoc. Idiotyczna słabość! Na samo jej wspomnienie poczuła ostrzegawczą martwość. Czy one ośmieliłyby się czytać przyszłość? Musiała je wabić droga, która urzekła ich ojca – przyprawowy trans z wizjami przyszłości falującej jak muślin na kapryśnym wietrze.

„Dlaczego ja nie widzę przyszłości? – zadawała sobie pytanie. – Dlaczego mi umyka, chociaż próbuję i próbuję?”

Trzeba zmusić bliźnięta, żeby spróbowały, postanowiła w duchu. One dadzą się podpuścić. Mają dzieciinną ciekawość i pepowinę pamięci przemierzających tysiąclecia.

„Tak jak ja” – pomyślała.

Strażniczki otworzyły grodzie reprezentacyjnego wejścia siczy i stanąwszy szpalerem, przepuściły Alię na półkę lądowiska, gdzie czekały

ornitoptery. Wiatr z pustyni gnał pył po niebie, ale dzień był piękny. Wyjście ze światła siczowych lumisfer w jasność dnia skierowało jej myśli ku światu zewnętrznemu.

Dlaczego lady Jessika powraca właśnie teraz? Czyżby do Kaladanu dotarły wieści o tym, w jaki sposób regencja...

– Musimy się pospieszyć, moja pani! – odezwała się jedna ze strażniczek, przekrzykując świst wiatru.

Dała sobie pomoc przy wsiadaniu do ornitoptera i zapinaniu pasów bezpieczeństwa, ale jej myśli wyrwały się naprzód.

„Dlaczego teraz?” – zastanawiała się.

Gdy ornitopter jednym machnięciem skrzydeł wzbił się w powietrze, odczuła niemal namacalnie świetność i potęgę swej pozycji – jakże jednak kruchej, oj, jakże kruchej!

Dlaczego właśnie teraz, kiedy jej plany były jeszcze w powijakach?

Pyłowe mgły rozeszły się i podniosły. Alia patrzyła na skąpany w słońcu przechodzący transformację krajobraz planety: rozległe połacie zieleni tam, gdzie kiedyś królowała spalona ziemia.

„Bez wizji przyszłości może mi się nie udać – myślała. – Och, cóż za cuda mogłabym czynić, gdybym tylko widziała tak, jak widział Paul! Nie dla mnie gorycze jasnowidzenia”.

Targana dręczącym pragnieniem zaczęła żałować, że nie może odrzucić swojej mocy. Ach, żeby tak być jak inni – ślepa ową najbezpieczniejszą ze wszystkich ślepot, wieść tylko na poły świadomą egzystencję, w jaką szok narodzin wtrąca większość ludzi. Ale nic z tego! Urodziła się jako Atrydka, ofiara wiekuiestej głębi świadomości narzuconej przez uzależnienie matki od przyprawy.

„Dlaczego moja matka wraca dzisiaj?”

Będzie z nią Gurney Halleck, oddany bez reszty sługa, najemny zabójca o szpetnej fizjonomii, wierny i prostolinijny, trubadur koncertowo podryznający gardła lub z równą biegłością koncertujący na dziewięciostrunowej balisecie. Niektórzy gadają, że został kochankiem jej matki. Rzecz warta zbadania, może się bowiem okazać bezcennym atutem.

Przeszła jej chęć bycia jak inni.

„Trzeba wpędzić Leto w trans przyprawowy”.

Przypomniało jej się, że spytała go, jak potraktuje Gurneya Hallecka. A chłopiec, wyczuwając w pytaniu drugie dno, odparł, że Halleck jest lojalny „do przesady”, i dodał „On uwielbiał... mojego ojca”. Wyłapała to lekkie zawahanie. Leto omal nie powiedział „mnie” zamiast „mojego ojca”. Tak, czasami trudno było oddzielić genetyczną pamięć od struny żywego ciała. Gurney Halleck nie ułatwi tego Leto.

Na ustach Alii zagościł krzywy uśmiech.

Gurney wybrał życie u boku lady Jessiki na Kaladanie. Jego powrót pogmatwa wiele spraw. Zjawiając się na Arrakis, doda zawilosci własnej historii do istniejących tu genealogii. Najpierw służył ojcu Paula, tak więc sukcesja wyglądała następująco: Leto I – Paul – Leto II. A w planie eugenicznym Bene Gesserit, w linii żeńskiej: Jessika – Alia – Ganima. Zwiększając mętlík tożsamości, Gurney mógł się okazać nieoceniony.

„Co by zrobił, gdyby odkrył, że w naszych żyłach płynie krew Harkonnenów, których tak zawzięcie nienawidzi?”

Uśmiech Alii stał się zamyślony. Bliźnięta są, mimo wszystko, dziećmi. Są jak dzieci mające niezliczoną mnogość rodziców i tyleż ich osobnych pamięci skupionych w jednej jaźni. Wyjdą na próg siczy Tabr i będą śledzić świetlisty warkocz statku babci lądującego w Basenie Arrakińskim. Czy widok ognistego kilwateru na niebie sprawi, że przybycie Jessiki stanie się dla jej wnucząt bardziej rzeczywiste?

„Matka zapyta mnie o ich szkolenie – pomyślała Alia. – Spyta, czy rozsądnie mieszam techniki prana i bindu. No i usłyszy prawdę, że smarkacze same się szkolą... tak jak ja robiłam. I zacytuje jej wnuka: »Do obowiązków przywództwa należy wymierzanie kary... ale tylko jeśli ofiara jej potrzebuje«”.

Nagle przyszło jej do głowy, że gdyby tylko potrafiła wystarczająco skupić uwagę Jessiki na bliźniętach, inni mogliby uniknąć dokładniejszej inspekcji. Coś takiego mogło się udać. Leto jest bardzo podobny do Paula. I nic dziwnego. Może być Paulem, kiedy tylko zechce. Nawet Ganima ma tę szokującą umiejętność. „Tak jak ja mogę być moją matką albo każdym z tych, którzy podzielili się z nami swoim istnieniem”.

Uciekając od tej myśli, zatopiła wzrok w przesuwanym się w dole krajobrazie Muru Zaporowego, ale wróciło pytanie: „Jak może porzucić przytulne zacisze wodą płynącego Kaladanu i wracać na Arrakis, pustynną planetę, na której zamordowano jej księcia, a jej syn zginął śmiercią męczennika?”

Dlaczego lady Jessika wraca właśnie teraz?

Nic nie przychodziło jej do głowy... przynajmniej nic pewnego. Potrafiła dzielić świadomość czyjejś jaźni, lecz kiedy doznania idą różnymi drogami, to i motywy się rozchodzą. Istota decyzji tkwi w indywidualnych działaniach jednostek. Dla przednarodzonej, „mnogonarodzonej” Atrydki stanowiło to nadrzędną rzeczywistość, samo w sobie było innego rodzaju narodzinami: absolutnym oddzieleniem żywej, oddychającej istoty z chwilą opuszczenia łona, które poraziło ją wielokrotną świadomością.

Alia nie widziała niczego niezwykłego w tym, że kocha swoją matkę i nienawidzi jej zarazem. To była konieczność, niezbędna równowaga, w której nie ma miejsca na winę i odpowiedzialność. Gdzie kończy się miłość albo nienawiść? Czy wina leży po stronie Bene Gesserit, bo skierowały lady Jessikę wytyczonym torem? Wina i odpowiedzialność rozmywają się, gdy pamięć obejmuje tysiąclecia. Zgromadzenie dążyło jedynie do wyhodowania Kwisatz Haderach: męskiego odpowiednika w pełni ukształtowanej Matki Wielebnej... i więcej – istoty ludzkiej o wyższej wrażliwości i świadomości, Kwisatz Haderach, tego, który jest w wielu miejscach naraz. A lady Jessika, mały pionek w tym planie eugenicznym, po prostaku zakochała się w zarodowym partnerze, któremu ją przydzielono. Spełniając życzenie ukochanego księcia, urodziła syna zamiast pierworodnej córki, której chciało zgromadzenie.

„Mnie odłożyła na później, żeby powić, kiedy będzie już uzależniona od przyprawy! A teraz one mnie nie chcą. Teraz się mnie boją! I słusznie...”

Doczekały się Paula, swojego Kwisatz Haderach, o jedno pokolenie za wcześniej – drobna niedokładność jak na tak długi okres planowania. No i mają teraz dodatkową zagwozdkę: drogocenny genotyp, który kłeciły przez tak wiele pokoleń, dostał się Złemu Duchowi.

Alia zerknęła do góry, wyczuwszy przemykający po niebie cień. Ornitoptery eskorty wchodziły na wyższy pułap, ubezpieczając jej lądowanie. Pokręciła głową, dziwiąc się meandrom własnych myśli. Co daje przywoływanie starych czasów i przeżywanie starych błędów? Teraz jest nowe życie.

Rozważywszy w mentackiej świadomości pytanie, dlaczego lady Jessika wraca właśnie teraz, zaprząwszy do oszacowania tego problemu swoje zdolności ludzkiego komputera, Duncan Idaho powiedział jej, że Jessika wraca, aby przejąć bliźnięta dla zgromadzenia żeńskiego. W końcu one również miały te drogocenne geny. Duncan może mieć rację. To mogło wystarczyć do przerwania dobrowolnego odosobnienia lady Jessiki na Kaladanie. Gdyby zgromadzenie kazało... Cóż, z jakiego innego powodu wróciłyby do miejsc, które z pewnością budzą w niej rozdzierający smutek?

– Zobaczymy – mruknęła Alia.

Poczuła wstrząs przyziemia, gdy ornitopter usiadł na dachu twierdzy – zdecydowany, wibrujący sygnał, który pogрузił ją w ponurym oczekiwaniu.

Frank Herbert (1920–1986) to jeden z najwybitniejszych twórców literatury SF, zdobywca prestiżowych nagród Hugo, Nebula i Apollo, autor kilkunastu doskonałych powieści i zbiorów opowiadań, prekursor nurtu ekologicznego w fantastyce. Polski czytelnik zna m.in. jego *Oczy Heisenberga*, *Gwiazdę chłosty*, *Władców niebios* i *Twórców bogów*. Sławę przyniósł mu jednak przede wszystkim epokowy cykl „*Kroniki Diuny*” — barwna epopeja przedstawiająca dzieje pustynnej planety Arrakis, źródła najcenniejszej substancji we wszechświecie: melanzu.

Tytuł oryginału: Children of Dune

Copyright © 1976 by Frank Herbert
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2011

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation (<https://fedorahosted.org/liberation-fonts/>)

Redakcja merytoryczna i słowniczek: Sławomir Folkman
Redakcja: Błażej Kemnitz

Copyright © 2008 for the illustrations by Wojciech Siudmak
Grafiki: Wojciech Siudmak

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Dzieci Diuny, wyd. I, dodruk, Poznań 2011)

ISBN 978-83-7818-074-6

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book: KALADAN, www.kaladan.pl

Upłynęło dziewięć lat, odkąd oślepiony Paul Mu-
ad'Dib wyruszył samotnie na pustynię na spotkanie
z Szej-huludem. W tym czasie rządy w Imperium spra-
wowała jego siostra Alia. Na drodze opętanej regentce
wciąż jednak stoją prawowici następcy Paula – Leto
i Ganima. Kilkuletnie dzieci są też zagrożeniem dla
rodu Corrinów, odwiecznego wroga Atrydów, chcą-
cego ponownie zasiąść na Tronie Złotego Lwa.

Bliźnięta, którym także grozi opętanie, podejmują
beznadziejną, zdawałoby się, walkę na kilku frontach
jednocześnie. Tymczasem na Arrakis pojawia się cha-
ryzmatyczny niewidomy Kaznodzieja, który bardzo
przypomina ich zmarłego ojca...

„W swej opowieści o władzy, polityce i ekologicz-
nym ocaleniu Herbert kolejny raz wspiał się na sam
szczyt”.

„Los Angeles Times”



www.rebis.com.pl

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).